Lwów, 27. Marca. Nr 36. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłka pocztowa rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin mód kwartal. 1 Złr.

Z PAMIĘTNIKA
LEGITYMUJĄCEGO SIĘ SZLACHCICA.

(Ciąg dalszy.)

Ubiegłszy milkę, zatrzymaliśmy się dla wytchnienia przed karczmą w borze. Podczas kiedy furman zsiadł z kozła i według rozkazu ocierał koniom oczy połą swej opończy, tymczasem Poczciwski gwizdał, namawiając ich tym sposobem do ulżenia sobie dla dalszej podróży. W tem otwarły się drzwi karczemne i wyszedł z nich żydek.

Byłto Lejba, poważny izraelita, z długą, siwą brodą. Zbliżywszy się do nejtyczanki, potrząsł jarmułką i rzekł: klaniam pana, a dokądto pan Bóg prowadzi?

Poczciwski wierny tajemniczości jaką przybierał w podróży, odpowiedział od niechcenia:

— At, zachciałeś! żonka przepędziła z domu: jadę szukać drugiej.

— Niech pan zdrów żartuje! — rzekł arendarz, pogłaskał brodę i dobywszy tabakierki podniósł ją Poczciwskiemu.

Poczciwski przeciągnął dwa palce i zażywszy, rzekł: Jak obaczysz się z Herszkiem, powiedz mu niech nie przyjeżdża za pszenicą, aż dam znać.

— Nu, — rzekł żyd, patrząc przenikliwie Poczciwskiemu w oczy — chyba pan nie prędko powróci?

— Człowiek wie kiedy wyjeżdża, a nie wie kiedy wróci! — podchwycił Poczciwski.

— To prawda! — odrzekł Lejba. Rozumnie powiedziano; nu doprawdy: dokąd pan jedzie?

Zapytany tym tonem Poczciwski, zmiękczał i rzekł półgłosem: — Do Żytomierza, a może za Żytomierz· Mam tam kawałek swego interesu.

— Nu, niech pan Bóg szczęśliwie prowadzi! — rzekł żyd uspokojony.

— Dziękuję.

I potoczył się nasz powóz przez bory, a Poczciwski tymczasem zaczął mi opowiadać historyjkę o Lejbie: gdzie on trzymał arendę pierwej, jak się zbogacił; a że w tych stronach, zacząwszy historyą o żydzie, mimowolnie kreśliło się drugą o obywatelach, więc przechodząc z materyi w materyą, opisał mi takim sposobem kilka domów. Ja zaś słuchając opowiadania, wzrokiem śledziłem za bąkami, które towarzyszyły nam od samej karczmy i usiadłszy na grzbiecie jakiej szkapy, do energicznych ruchów przyprowadzały ich ogony.

Poczciwski wiedział to do siebie, iż nie wymyśli prochu, ale nigdy nie wyznał iż tak jest w istocie; lecz żeby rozjaśnić czemkolwiek tę ciemną stronę obrazu, zwykle chlubił się swoją poczciwością, za którą mieli go szacować wszyscy. Sens moralny historyi był ten, iż czego inny nie dokazał rozumem ani sprytem, on to zrobił jedynie iż był poczciwym i lubionym od wszystkich. Rozgadawszy się, Poczciwski bajał mi przez całą drogę, a zaczepiwszy o siebie, rozpowiedział całą swą przeszłość. Według jego rozumowania, on by już dawno dorobił się mająteczku, a nie chodził po possesyach, gdyby nie Marysia. U księcia Sanguszki było mu jak w raju; ordynaryi nie zjadał, lecz sprzedawał. Samych wieprzów karmił zawsze 20. Ale, mówił, Michaś wziął wtedy właśnie dużą possesyą i przysłał po mnie. Przyjechałem, on mi mało butów nie zdejmuje, gości, nie puszcza, a taki, że choć do rany! Nareszcie powiada: „Ot, wiesz co, panie Franciszku: sprowadź się do mnie: gospodarujmy razem: zawsze to lepiej. Jest z kim pomówić, poradzić się, a potem wszystko to będzie wasze!“ Ja — za nic! Posyła on za Marysią. Jak zaczał jej turkać, a złote obiecywać góry... Ta z prośbami do mnie, a ty wiesz, że jak baba przyczepi się z jaką prośbą, to niema rady!

— Ależ pan musiałeś jej perswadować?

— Ta ta ta! — rzekł Poczciwski. Moja Marynia gospodyni, tego i wróg nie zaprzeczy; ale jak się jej czego zachce, to już nie wyperswadujesz, choćbyś gadał jak z książki. Sameś widział, co ja mam kłopotu z klucznicami: ta jej zła, a ta dobra, ta znowu zła, a ta dobra.... i tak ciągle.

— E, panie Franciszku! pan źle się uprzedził — rzekłem z uśmiechem.

— A co? chi chi chi!... zaśmiał się dobrodusznie Poczciwski. Jaka ty jeszcze detyna, nie znasz ty jeszcze kobiet! Jak się rozchodzi, to żeby anioł przyleciał z nieba, i ten nie dogodzi!

— No, cóż dalej?

— Otóż, jak mi żonka zaczęła turkać, rzucam ja jak durny gotowy kawałek chleba i przebieram się do Micha-

sia. Pracowałem tam jak wół lat siedm, a w ósmym roku on wychodzi z posessyi i ja zostałem jak na lodzie.... Ot tobi Hapko knysz! Bo to ty nie znasz jeszcze swojego opiekuna.

— Nie znam....

— No, to poznasz, da pan Bóg!

— Cóż on: zły czy dobry?

— Ot, tak jak kiedy, płanetami!

— Powiedzże mi pan, co my teraz mamy robić?

— Jedziemy szukać naszych papierów.

— Przyznam się panu, iż nic tego nie rozumiem: jakichto papierów?

Poczciwski zażył tabaki i zaczął mi tłumaczyć interes. Widzisz, ukaz jest taki, żeby wszyscy przedstawiali swoje papiery, a jeśli nie przedstawią, więc ich heroldya nie zatwierdzi i trzeba będzie zapisać się w jednodworcy... Miła rzecz! Michaś poruczył nasze interesa jednemu tu w Żytomierzu Szlachtorubskiemu, rok już czwarty, a ten ciągle pisze: daj a daj... a czy co zrobił? nie wiadomo.

— Niechże mi pan objaśni jeszcze rzecz jednę. Cóż ten pan zrobić istotnie może, kiedy zapewne nie zna ani nas, ani naszych przodków? Zkądże on weźmie te papiery?

— Ba! w temto i sztuka! Za toż się i płaci!

— Nie wieszże pan, czy po moim ojcu pozostały jakie papiery?

— Gdzietam nie wiem: żadnych! Twój ojciec, świeć Panie jego duszy, byłto poczciwy człowiek. Ot tak jak ty był w uniwersytecie i przez całe życie miał zajączka w głowie. W rozmowie to księdza w kąt zapędzi. A po łacinie, to po łacinie; a po niemiecku, to po niemiecku! Bywało Węgier przyjdzie z olejkami, i z tym się rozmówi. Dobre on miewał miejsca, ale grosz się u niego nie zatrzymał.

— I nie powiedział nigdy: kto on i zkąd?

— Jakto nie powiedział! Raz zapytaliśmy się jego, gdzie są twoje papiery? On jak odciął, więc żebym ci jednę tylko literę powiedział, domyśliłbyś się resztujących czterech! Michaś pisał znowu do niego w tym przedmiocie; ale jak odpisał na całym arkuszu, to ów list chodził z rąk do rąk po powiecie. Zdaje mi się, iż jest dotąd u Michasia. Pisał np. że i chłop nie gorszy od nas, i mnóstwo innych banialuk, których ja nie spamiętam. Ale sam widzisz, że to głupstwo! Jak taki można równać szlachcica z chłopem? To chłop, a to szlachcic! Nacóż ich tak nazwali, jeżeliby nie było różnicy?

Widziałem, iż obrona z mej strony listu nieboszczyka ojca, którego treść istotną zgadywałem, nie zdałaby się na nic; chciałem przeto oświetlić moje pojęcia argumentacyami p. Franciszka i zapytałem:

— Zkądże pan to wziął, że ich tak nazwali? i któżto ich tak nazwał?

— A szczob tebe-ha! — odrzekł Poczciwski. — Był taki co ich tak nazwał! A kto nazwał sosnę np. że to sosna? Takto już Pan Bóg dał, a nam tego dochodzić grzech, bo kto tak robi, dowodzi, iż nibyto rozumniejszy od Pana Boga.

Umilkłem, a Poczciwski widząc, iż pozostał zwycięzcą, sam się puścił w argumentacye.

— Bo ty czytałeś zapewne — rzekł — iż u Noego było trzech synów: Sem, Cham i Jafet, i że ojciec upiwszy się razu jednego, zasnął i...

— Wiem — rzekłem, co się stało potem...

— No jak wiesz, to jeszcze lepiej! Otóż on za to przeklął Chama, bo to Cham tak zrobił, i od tegoto Chama poszli chamy, co nam pańszczyznę robią.

Ale i Poczciwski nie zawsze patrzał na świat z poważnej strony. Były chwile, iż znajdował się w wesołem usposobieniu i natenczas żartował ze mną a nawet z furmanem Denysem. Razu jednego postrzegł jadącego naprzeciwko nas chłopka. Wóz jego naładowany był z czubem, ale czem? nie wiedziałem. Poczciwski rzekł do furmana.

— Denyse! a spytajno sioho czołowika!...

— Proszę pana— odpowiedział uśmiechając się Denys który zapewne wiedział figle swego pana — nałaje, pohano słuchat bude.

— Ale ne bude byty?

— Ta byty to ne bude — i poskrobał się w głowę.

— No, aby ne byw!

— Sława Bohu czołowicze!

— Na wiki amiń!.

— A czy ne do stupiu jedesz?

Poleszuk, który przy spotkaniu się pokornie zdjął czapkę, posłyszawszy te słowa spojrzał na Denysa groźnie i rzekł: A szczob ciebie chworoba napała! a szczob ciebie miedzwiedź zjeu!

Denys zaciął konie, a Poczciwski kładł się od śmiechu. Potem dowiedziałem się, iż spotkany wieśniak był garncarzem i wiózł swój towar na jarmark. Łatwo się domyśleć, iż zapytanie: czy nie do stępów jedzie? nie musi tym biedakom przyjemnie brzmić w uszach, i że to był *houmour* prawdziwie miejscowy. Spotykaliśmy też baby, pielgrzymki w białych chustkach na głowie, w łapciach, z dzbankami na plecach, idących do Kijowa. Poczciwski z najpoważniejszą miną odzywał się do nich: «Słabe baby« (zamiast: sława Bohu!), a te odpowiadały chórem: „na wiki amiń:“

Już odbyliśmy popas w karczmie, których po trakcie było pełno, już ubiegli dobry kawał drogi po popasie i słońce skłaniało się ku zachodowi, gdy w lewo na pięknej równinie, postrzegłem wioskę niewielką, ale ozdobną jak wianuszek. Grupy topoli rysowały swe wierzchołki na

na czystem tle błękitu. Z zielonej massy ogrodu bielał dom właściciela i drożyna równa jak taśma, wiodła w prost do bramy tego domu. Przypomniałem sobie Myśliwca Zaleskiego, który powiada:

Jak widzicie: rzęd topoli,
Niegdyś dwor tam stał na lewo,
W nim czcigodny żył podstoli,
A miał córkę czarnobrewą!
Przywitała jeno skromnie,
Rzekła słówko i już po mnie.

I potem, o! ileż razy w życiu przypomniałem ten dom i te wierszyki! Serce mi zastukało gwałtownie: byłożto przeczucie? Niezawodnie!

Poczciwski rzekł do Denysa: Zawertaj do Haju! Wioska nazywała się Gajem. — Czy tu wstąpimy? zapytałem Tu mieszka mój przyjaciel Hornicki — odpowiedział mi Poczciwski. Przenocujemy sobie u niego wygodnie, a jak wyjedziemy jutro o ósmej, więc na 12tą staniemy w Rozbiorówce u Michasia.

— Któż ten p. Hornicki?

— Poczciwa dusza! Służyliśmy z nim i twoim ojcem w jednym skarbie, u księcia Sanguszki i żyliśmy w wielkiej przyjazni.

— Czy to dom familijny?

— Oboje już nie młodzi i mają jednę córkę.

— Słuszną?

— A tobie ta wiadomość na co? Niebardzo się no zapalaj, mój chłopcze, bo zawiedziesz się. Tych lat co i panna Pchlińska.

— Może i taka ładna? rzekłem krzywiąc się.

— Niczego! przez chustkę pocałować można.

Tymczasem zbliżamy się do domu. Nie zapomnę tego zielonego dziedzińca i tego płotu z akacyj, który go otaczał. Było tu czysto, ładnie; z ogrodu widniały klomby okryte kwiatami; pośrodku dziedzińca stał kompas, ściany oficyny zakryte były bzami i różą, za ogrodem, przez drzewa, przezierały wody rzeki, szumiał młyn gdzieś na dole, i ciemny pas boru widniał za rzeką. Wjeżdżaliśmy w samą porę powrotu trzody z pola, i ledwie że mogliśmy przebrać się przez stada bydła i owiec. Ryk i beczenie rozlegały się po całej wiosce, srebrzysta smuga pyłu leżała na ulicy, a chłopcy i dziewczęta uwijali się na niej, oddzielając bydełko swe od stada.

Dość było objąć całość okiem, albo upatrzeć jakikolwiek szczegół, ażeby się przekonać, iż pieczęć gustu leżała tu na wszystkiem. Na Poczciwskim nie robiło to wszakże najmniejszego wrażenia. Wysiadłszy z powozu przed gankiem, dobył on z flegmą chustkę, zdjął czapkę i zaczął ją otrzepywać z pyłu, potem napomniał Denysa, ażeby koniom dał wygodę i nie napawał gorących, nakoniec zwrócił się ku drzwiom i zapytał służącego czy pan jest w domu?

Ale nim stąpił na próg sieni, gospodarz stanął przed nami. Poczciwski! O, jakże się masz mój przyjacielu! — rzekł biorąc go w ramiona. — A toż kto z tobą: czy nie kuzynek? — dodał ciszej. I przystąpiwszy do mnie, wziął za rękę, ścisnął mocno i powiedział: Miło mi widzieć pana w moim domku; słyszałem o nim wiele dobrego. Na tłumaczenie się moje iż nie jestem we fraku, że mnie Poczciwski zawiózł tu, nie uprzedziwszy o wizycie, dodał: E, panie! ja w etykiety i ceremoniały nie wierzę: kochaj mię pan jak ojciec pański kochał, i nam fraków nie potrzeba! Hm — mówił patrząc mi w oczy: znałem pana jeszcze dzieckiem, a teraz mnie przerosłeś. Żywo mi przypominasz ojca... Służę moim panom.

I weszliśmy do sali, a z tamtąd na balkon.

(C. d. n.)

TATARZY.

Z kąd to jedziesz? z nad Dunaju,
Co tam słychać w naszym kraju?
— Oj źle matko, bieda z nami!
Trzeba hulać z Tatarami!

A Tatarzy lud psiej wiary,
Chytrze kryją się w czachary,
Napadają, w dyby kują,
Krwi nieszczędzą, łez nie czują.

Ej! w dalekiej Ukrainie
Płacze Kozak po dziewczynie,
Bo dziewczyna ukochana
Dziś Tatara ma za pana.

Ej! w dalekiej Ukrainie,
Płacze matka po swym synie,
Matka biedna, matka stara,
A syn zginął z rąk Tatara.

Ej! w dalekiej Ukrainie
Kędy siny Dnieper płynie,
Wszędzie ciężka duma chodzi,
Każdy płacze i zawodzi.

Ej! w dalekiej Ukrainie,
Gdzie popatrzysz to pustynie,
Tylko mogił tam do licha,
Przy mogiłach Licho czycha.

B. B.

PAMIETNIKI LEKARZA POLAKA.

przez

Dr. J. TRIPPLINA.

Pierwsze to tego rodzaju pamiętnik i wyszły w języku polskim. Same przez się pamiętniki każdego lekarza który

przez życie swoje ze wszystkiemi stanami społeczenstwa ma do czynienia, dla którego otworem stoją najtajniejsze strony życia domowego, a co więcej wszystkie moralne słabości, z ich przyczynami i wynikłościami, są już ciekawe, o ileż ciekawsze być muszą, jeżeli je skreślił człowiek taki jak nasz doktor Tripplin, który lat kilka przepędził za granicą, był w styczności z najznakomitszemi lekarzarzami niemieckiemi, angielskiemi i francuskiemi, i który nareszcie jako człowiek wyższego ukształcenia umysłowego, obznajomiony z literaturą i sam w niej pracujący, potrafi te wszystkie zdarzenia które przeżył sam lub ich był świadkiem, oddać z prawdą i życiem. Jakoż w rzeczy samej pamiętniki te zawierają wiele nadzwyczaj ciekawych szczegółów, rysów charakterystycznych i anegdot to smutnych to wesołych. Zdaje się nam zatem, iż zrobiemy przysługę czytelnikom naszym jeżeli przebiegając to długie bo sześcio-tomowe dzieło, wyjmiemy z niego kilka więcej zajmujących epizodów.

Doktor Tripplin rozpoczyna pamiętniki swoje od tego, że nam opowiada przez jaki zbieg okoliczności został lekarzem.

W roku 1331 był on młodziutkim oficerem w wojsku polskiem. Gdy się wojsko cofało ku pruskim granicom ranny dość mocno, wszelkiej pozbawion przytomności dostał się do Elblągu. Do ran przyłączył się tyfus. Okropną dręczony gorączką, pamiętał przecie owe sny bezładne, towarzyszące zwykle podobnej chorobie. Marzyły mu się rozmaite dziwolągi, pomiędzy którenni główną grały rolę trumny różnobarwne. Dopiero gdy przyszedł do siebie, okazało się, że sny te nie były bez pewnej podstawy rzeczywistej. Leżał bowiem w domu stolarza, który robił trumny; tuż obok jego pokoju, był skład trumien gotowych, które choć rzeczywiście widzieć nie mógł, dojrzał przecie przez ścianę, w skutek dziwnej jakiejś intuicyi gorączką exaltowanej. Poczciwy stolarz Braun, i jego córka Wilhelmina czułą litością wiedzeni, zajmowali się cudzoziemcem jakby rodakiem, jakby krewnym. Doktor Schulgang leczył go z największą starannością która w sercu ziomka niezatarte zostawiła ślady.

A gdy wyzdrowiał, poczciwy lekarz, nie tylko o nagrodzie, ale nawet i o wdzięczności słyszeć nie chciał.

— Ty jesteś moim pomnikiem lekarskim; mówił mu na to doktor Schulgang. Pamięć twojej niebezpiecznej słabości, i szczęśliwego wyleczenia, dawać mi będą zawsze świadectwo o moich zdolnościach lekarskich, i będą umacniać wiarę w sztukę lekarską, wiarę która u nas lekarzy często upada. Dla tego nic mi winien nie jesteś.

Ta szlachetna bezinteresowność, obok poświęcenia czasu i trudów dla człowieka zupełnie obcego, rozbudziła w młodym człowieku myśl zostania lekarzem, by w tym zawodzie tak pożytecznym służyć ludzkości całem sercem. A i tak nie mogąc wracać do ojczyzny, mimo wieku młodego, trzeba było myśleć o przyszłym zawodzie, który by mu dał samoistną w świecie posadę.

Udał się więc do Królewca z energicznem postanowieniem, i złożywszy egzamen maturitatis, został zapisany w poczet Civium Reipublicæ literarariæ Universitatis Rogiomontanæ dictæ Aibertinæ. Zdybawszy tam i krewnych i rodaków młody aspirant do sztuki Eskulapa, wnet porobił mnogie w obcem mieście stosunki. Uniwersytet królewiecki posiadał zawsze wielu uczonych profesorów i znakomitych lekarzy, których p. Tripplin poznał oczywiście, i w pamiętnikach swoich przytacza kilka arcypociesznych rysów o nich.

Pomiędzy sławniejszymi lekarzami był doktor profesor Sachs oryginał w swoim rodzaju. Doskonały lekarz, pełen wiadomości i energii, najlepszy przy tem w gruncie człowiek, ale rubaszny i brutal nawet, co mówił nie obwijał w bawełnę, niezważając na przyzwoitość, rznął prawdę od ucha. Nie lubili go zato w mieście i bali się go nawet, ale gdzie tylko niebezpieczna pojawiła się choroba, bez doktora Sachsa obejść się nie można było.

Zdarzyło się tedy, że gdy młody Tripplin na trzecim już roku medycyny będący, był raz na zabawie u księcia Hes-Hom... mały synek księztwa zasłabł. Poproszono p. Tripplina by go zobaczył. Sześciomiesięczne dziecię leżało z rozpaloną głową, i z ciężkim oddechem, pogrążone w snie niespokojnym, z którego zbudzić go nie można było.

Młody uczeń sztuki lekarskiej kazał mu przyłożyć do głowy zimną wodę z octem, a synopizma na nogi, lecz niechcąc brać odpowiedzialności na siebie, radził aby po lekarza posłać. Lekarz domowy księztwa nie był w mieście, a więc radził by posłać po Sachsa.

— Ależ ten pan Sachs brutal i oryginał! odpowiedziano mu.

— Ale doskonały lekarz.

Posłano zatem po Sachsa. Przybywa pan doktor, ale w stroju zaniedbanym, z czapką na głowie, którą zdjął dopiero na środku pokoju; a co najgorzej że miał w głowie nieco. Trafiało się zaś to poczciwemu Sachsowi nieraz, mianowicie w nocy, gdy pisał sławne dzieła swoje, przy czem lubiał się zakrapiać doskonałym Bordeaux.

Siada przy dziecku. Rodzice chcą mu dać objaśnienia jakieś, lecz on prosił by mu nic nie gadali, bo on sam sobie pozna co dziecku brakuje.

— Widzę że się ktoś na wielki rozum zdobył!... winszuję panu.

I rzucił o ziemię okładania i synapizma, z niemałem pomieszaniem młodego ucznia.

Obejrzał dziecko na wszystkie strony, nos przytknął do ust jego, i po chwili wyrzekł szorstkim głosem:

— Durchlaucht, ihr Kind ist besoffen! (Mości książę, dziecko jest pijane.)

Łatwo pojąć jakiem okiem wszyscy popatrzyli na niego.

— Ależ dla Boga! dziecko ssie jeszcze! ozwała się matka.

— To mi wszystko jedno; dziecko jest pijane! Czy pani sama karmisz?

— Nie ja, ale mamka.

— Tem gorzej a gdzież mamka?

— Zmęczona bardzo usnęła

— Ona nie zmęczona ale pijana, i pokarmem swoim upoiła dziecko. Chodźmy do niej.

Mamka spała jak zabita, a czerwona jak rydz była. Profesor zbudził ją, i opatrzył, a nawet kazał jej chuchnąć na siebie.

— Pijaniusieńka! krzyknął!.

— Pan sam pijany! odrzekła mamka.

— I wieleżeś wypiła?

Po długich indagacyjach pokazało się że łyknęła dwa półkwaterki likieru.

— A cóż moja panno! kto z nas pijany?

— Oboje, odrzekła mamka.

Zakaszlał się na to lekarz, zapisał lekarstwo i rzekł do młodego ucznia:

— Otóż widzisz! inny doktor, byłby się domacał gorączki, zapalenia mózgu, i Bóg wie co jeszcze, i byłby męczył dziecko niemiłosiernie.

Co rzekłszy wyszedł, i tak był pewny swego, że mimo nalegań matki nie przyszedł drugi raz by się dowiedzieć jak się ma książątko.

Doktor Sachs był bezinteresowny w całem tego słowa znaczeniu, i dla tego samego niecierpiał skąpych ludzi. Za wielką mu także wadę poczytywano, że nie lubił tracić czasu na marne mianowicie z gadatliwemi kobietami pogadanki. Z tego powodu wyprawił raz na ulicy pocieszną scenę.

Raz na moście zdybuje jednę panią, bogatą i dostojną która nie żałowała pieniędzy na fioki i stroje, ale nadzwyczaj lubiła daremne konsultacye lekarskie, i doktora Sachsa nagabywała za każdem zdybaniem na mnogie defekta swoje.

— Doktorze, okropnie oczy mnie bolą, zawołała zatrzymując profesora.

— Oczy bolą! odrzekł profesor. Zamknij że pani oczy, ale dobrze... tak!... A teraz wystaw pani język, bym się mógł jemu przypatrzeć, ale dobrze... tak...

Dama posłuszna przymrużyła oczy, i język najpotężniej wystawiła. Zdradliwy Sachs korzystając z chwili, wyniósł się cichaczem, i poszedł w swoją drogę.

Pacientka z zamrużonemi oczyma i językiem na wierzchu, stała czas jakiś, lecz nareszcie zniecierpliwiona, gdy otworzyła oczy, ujrzała doktora uciekającego, ale za to gawiedź uliczna otaczała ją, śmiejąc się do rozpuku.

Był znowu w Królewcu inny doktor nazwiskiem Majkäfer, przybył z Berlina, z sławą bardzo uczonego i wielce zdatnego lekarza. I był nim rzeczywiście, lecz miał smutną w tym zawodzie wadę, był nad wszelki wyraz nieśmiały. Poty na niego występowały gdy się znajdował przy łóżku chorego, widocznie pasował się sam z sobą najokropniej, nim przystąpił do napisania recepty. Robił to z bojaźni, by lekarstwo nie było za mocnem, lub za słabem, co naturalnie ten skutek miało, że najczęściej z niemałą szkodą chorego zapisał ni to, ni owo, byle nie brać na się odpowiedzialności. Jest to powiedzmy nawiasem właściwość wielu lekarzy teorycznie bardzo uczonych, którzy wiecznie się wahają między systematami z ksiąg lekarskich nauczonemi, i którym często gęsto zanim się zdecydują chorzy umierają pod ręką. Taki typ lekarzy kunktatorów jest dosyć rozprzestrzenionyą i mnogie jego zdybać można w świecie egzemplarze.

Poznawszy bliżej p. Majkäfera, dowiedział się wreszcie młody Tripplin, o przyczynach tej szczególnej nieśmiałości. Była ona skutkiem dziwnej fatalności, która go przy pierwszych trzech jego próbach najniewinnej prześladowała.

Zawołany do znajomego domu, gdzie dziecko nagle i niebezpiecznie zapadło, poznał doktor Majkäfer od razu że to krup, a więc użył wszelkich w takim razie używanych środków, do których należało przystawienie pijawek. Środki użyte zaraz pomogły, dziecko zaczęło wolniej oddychać. Lecz gdy pijawki odpadły, niebyło żadnego sposobu zatamować krwi, dziecko bladło, stygło, i wreszcie w rękach lekarza umarło. Pokazało się że dziecko to należało do tych rzadkich wyjątków, które nazywają *krwawcami*, którym krwi żadnym sposobem zatamować nie można. Zdarzenie to daje powód autorowi pamiętników do uwagi, że później znacznie wynaleziono we Francyi nową substancją, zdolną zatamować największy krwiotok.

Drugie zdarzenie jakie zdybało Majkäfera, jest więcej pocieszne. Zawołano go raz do tokarza, który gdy upiwszy się upadł w rynsztok, przyniesiono go z nogą i kolanem nadzwyczaj spuchniętem. Poczciwy Majkäfer przybiega i znajduje wszystkie znaki, o jakich tylko kiedykolwiek lekarskie pisały książki, że noga złamana. A więc żywo i śmiało wziął się do dzieła *secundum regulam artis*. Manipulował koło krzyczącego w niebogłosy tokarza przez godzin parę, póki mu nogi nie nakręcił, nie naciągnął i nieobandażował, i wyszedł zostawiwszy płaczącej i wrzeszczącej rodzinie tę smutną nadzieję, że ze dwa miesiące najmniej będzie musiał leżeć nieruchomy.

Nazajutrz idzie doktor Majkäfer odwiedzić pacienta, a przekonany że przez noc wielkiej nie doznał ulgi, przybrał minę ważną, i do okoliczności stosowną, by nią odpowiedzieć na narzekania biednej rodziny.

I wystaw sobie co postrzegam przy samym wnijściu mówi p. Majkäfer, do młodego Tripplina.

— Cóż, umarł przez noc?

— Żeby był umarł, mniejsza by było. Ależ on siedział przy warsztacie zdrów jak ryba, i tą złamaną nogą wywijał na piękne, śpiewając najweselej;

Da kamen drei Burschen.

— Cóż się stało takiego?

— Noga nie była złamana nigdy. Tokarz jak mnie zobaczył wybiegł na przeciw mnie i zawołał:

— Panie doktorze, musiałem się grubo pomylić, bo zamiast złamać nogę, co mi się istotnie należało, musiałem sobie coś innego zrobić. Jak pan odszedł cierpiałem okropnie, aż w nocy mocnej dostałem gorączki, i w tym stanie niewiedząc co robię, wyskoczyłem z łóżka, i stanąłem na nogi. Nagle coś strzeliło w kolanie, ból ustał, i mogłem chodzić... Nieprawdaż pan mi daruje żem sobie nogi nie złamał.

— Wyobraź sobie! kończył doktor Majkäfer mój wstyd i pomieszanie. Był to wypadek tak wyjątkowy że na stu lekarzy dziewięćdziesięciu dziewięciu byłoby przysięgło że noga złamana. A tymczasem po prostu weszła mu podczas upadku w staw kolana krząstka pływająca. Jest to wypadek nadzwyczaj rzadki, przy którym wszystkie są symptomata zwichnięcia, wykręcenia, a nawet złamania. Choroba ta powstaje czasem za najmniejszem fałszywem stąpieniem a za drugiem ginie. Dosyć, skończyło się na tem że wychodząc zostawiłem ostatniego Frydrychsdora, aby żona tokarza nie narzekała na koszta pijawek lekarstw i bandażów, a sam wróciłem do domu przejęty wstydem, zmartwieniem i złością. Ledwiem sobie w łeb nie wypalił.

(C. d. n.)

OSTATNI USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW UŁANA.

(Ciąg dalszy).

W ponurem osłupieniu, obok koni poprzywiązywanych do kołków, które z głodu do połowy pojadły, leżało zmorzone wojsko, czekając już niecierpliwie rozkazu do dalszego marszu. Na drugi dzień dopiero zrana chłopi z okolicy zaczęli znosić do obozu naszego chleb, śledzie i wódkę, co wszystko po niesłychanych sprzedawali cenach! I tak n. p. za bułkę zaledwo 6 funtową czarnego na pół jęczmiennego chleba, zapłaciłem pamiętam rubla srebrem, za dwa kieliszki wódki śmierdzącej 8 złp. a za śledzia 4 złp. A podzieliwszy się z moim ordynansem tak drogiem śniadaniem, aniśmy poczuli żeśmy co jedli, i chętnie byłbym drugą jeszcze taką porcyą kupił, gdyby nie to że co tylko przynieśli, w okamgnieniu rozerwane zostało ze szczętem. Ze strony zaś gościnnych władz pruskich ani pomyślano nawet, że konie i ludzie zdrożeni jeść potrzebować mogą, tem więcej gdy im się przez 24 godzin na gołym piasku trzymać nas podobało. Wreszcie drugiego dnia około południa zjawił się licznym otoczony sztabem Jenerał Kraft, komenderujący armiją wschodnich Prus, i oświadczył, że ma upoważnienie od swojego N. pana, udzielić gościnności wojskom polskim, szukającym w jego krajach przytułku, a zatem że mogą już postąpić w głąb kraju; oświadczył jednak zarazem: że za nim poczynią potrzebne rozporządzenia do dyslokacyi nas, tymczasowo o trzy mile ztąd staniemy obozem, gdzie parotygodniową odbędziemy kwarantannę.

Jenerał Giełgud nakoniec, w zielonym na rannej nodze pantoflu, przy pałaszu, wyjechał na przeciw Jenerała Krafta i długi, bardzo długi prowadził z nim rozhowor. Mnóstwo nas, oficerów z różnych broni otoczyło ich do okoła, nagląc na Giełguda, abyśmy już raz zagranicę wgłąb poszli, bo z łatwością jeszcze Moskale, co na strzał działowy tylko od granicy w szyku bojowym stanęli, mogą nas zabrać. W tej chwilt korpusik Jenerała Rollanda, co z nami niewszedł wczoraj w Prusy, lecz samem pograniczem manewrował, chcąc się jakim sposobem do Niemna dostać, przechodził właśnie około nas, i gdy żołnierze Rollanda zaczęli na naszych wołać:

— A wstydźcie się piecuchy! Toż to tu Prusakom broń składacie, gdy tam nasi biją się w Polsce! a hańba! a wstyd! Ot lepiej z nami koledzy, przedrzemy sie do kraju lub zginiemy razem jak Bóg przykazał. Na to wielu z naszych gdy się porywa, za broń chwyta i na koń znów wsiada a między innemi podoficer Konarski, brat owego co w Wilnie potem stracony został, co z kilkoma żołnierzami dostał się szczęśliwie do Warszawy, patrzymy, aż od granicznego okopu sadzi ku nam na koniu jakiś oficer, pałasz wisi mu na temblaku, a na piersiach para pistoletów na smyczy. Przypadając do nas zawołał: Na ustęp! na ustęp koledzy proszę! My niewiedząc ani pojmując co by to być mogło, rozstępujemy się, i miejsce mu robim, a on przypadłszy przed samego Giełguda, osadził konia na miejscu i zawołał:

— Koledzy! do tego zdrajcy tak się przemawia!.!. Tu ujął za pistolet, zmierzył, wypalił, konia na miejscu zwrócił i pognał na powrót, pałaszem się oganiając, w myśli zapewne że go kto ścigać będzie, o czem atoli nikt ani pomyślał; bo gdy równo ze strzałem Giełgud trafiony w same czoło zwalił się z konia, dwa razy ruszył tylko nogą obutą w zielony pantofel, i skonał. Przerażenie stało się ogólnem, zwłaszcza między Prusakami, co stali przy zabitym. Jenerał Kraft skoro się nieco opamiętał, zaczął wołać na całe gardło:

„Donner und Wetter! Herr Gott und Himmel, was ist denn? der polnische General ist todt geschossen? ha! Donner und Wetter! Herr Gott und Himmel! fort, die Polen fort!"

— Ha! kiedy fort, to fort, rzekliśmy do siebie i każden poskoczywszy do swego oddziału krzyknął: „Wiara! za broń i na koń!" Kiedy to na ten rozkaz nie skoczą nasi, kiedy niepochwycą za rzuconą i w kozły złożoną broń, w mgnieniu oka działa zaprzęgnięto, piechota stanęła raż-

no i ochoczo pod bronią, jazda na koniach, czekali tylko aby ktoś stanął na czele i poprowadził, ale do koła tylko usłyszałeś pomieszane krzyki i komendy różnorodne jak n. p.

— Pluton albo szwadron trzema od prawego, stępo marsz, tam: baterya naprzód, równaj się! Indziej: sekcyami w lewo do frontu zachodź, marsz! i t. p. I gdy bębny walą, trąbki sygnałują, pod działami i wozami, ruszającemi z miejsca aż ziemia drzy, gdy Rolland tymczasem ze swoim korpusikiem pociągnął dalej, a z nim i kapitan Skulski, adjutant 7go pułku liniowego, zabójca Giełguda, gdy i Moskale poczynają wyraźniej jakieś nieprzyjazne naprzeciw nas okazywać ruchy a Jenerał Kraft sierdzi się i rzuca wciąż, naraz ozwały się nawoływania, i głosy widno umiarkowańszych, i tych co zimno na ten cały dramat patrzyli się.

— Jenerale Chłapowski! Jenerale Chłapowski! Ale Chłapowski widząc co się stało z Giełgudem, nie był znać całkiem pewny, czyli znowu kto nieznajdzie się, coby chciał pretensyą może rozciągnąć i do jego osoby, jako szefa sztabu, i dla tego nie zaraz się pokazał. W końcu wyszedł i począł Prusaka mitygować, przekładając mu, że to był oficer nie z naszego korpusu, że za winę innego niewinni całkiem niepowinni być karani, że wreszcie w najgorszym razie gotów jest w oczach jego stoczyć walkę z nieprzyjacielem acz tylekroć liczniejszym i w oczach jego zginąć, czyni go tylko uważnym, że za ten rozmyślny mord on przed sądem Europy i własnym odpowie monarchą. Jedno z drugiem tyle mu nagadał, że go wreszcie przekonał i skonwinkował. Więc znowu adjutant od Jenerała Chłapowskiego przypadł do zebranych i zformowanych jaż pułków, a wnet po raz drugi znowu zakomenderował smutnie: Z koni! złóż broń!! potem na koń! marsz! I każden z Prusaków rozstąpił się, a my postąpiliśmy w głąb kraju. Wtej chwili Moskale dali za nami w Prusy 3 razy ognia z dział, a kule nieszkodliwie już nas przeniosły. Dodać tu winnienem, że do Giełguda skoro tylko spadł z konia, doktor któregoś pułku przystąpił z najzimniejszą krwią, dobył scyzoryk i z największą flegmą wyjął mu oko z głowy i do kieszeni schował. Giełguda wrzucono do furgonu i poprowadzono za nami, dopiero na noclegu bez żadnych honorów pochowano; tylko na mogile z kamieni wysoki kurhan mu wzniesiono. Oko to było porcelanowe, rzadkiej doskonałości i niezmiernie naturę naśladujące. Gdy w czasie wojny napoleońskiej własne stracił, podobno kosztem cesarza Francuzów takowe zostało mu wprawione.

Tak skończył Giełgud; może być że zbyt surowo ukarany, to atoli pewna że kara ta nastąpiła niewcześnie, i bez żadnego już pożytku dla sprawy ogólnej.

(D. n.)

Rozmaitość.

Z Krakowa. (Dokończenie.) O teatrze cóż wam pisać, zawsze ciż sami aktorowie, zawsze taż sama publiczność. Odegranie Adrienny Lecouvreur, odkryło nam świetne talenta Kotowskiej, znamionujące ciągłą pracę i studja. Tutaj też Pfeifer był nieporównanym, a i gra Krolikowskiego w roli Maurycego harmonizowała z ich naturalnością akcyi. Za to dzieła: Honor i pieniądze, Szatan i kobieta zrobiły fiasco. Podobał się też dramat *Listopad*, może właśnie dla tego, że nie był tak rozwlekłym, obcięto go niemal przez połowę, przez wypuszczanie wszystkich scen zbytecznych. Dawanie widowisk dwa razy do tygodnia, nie dozwala sprowadzać artystów na role gościnne, bo artysta chcąc trzy lub cztery razy występować gościnnie, musiałby zamieszkać w Krakowie dwa lub trzy tygodnie, więc życie w oberży tak długie, nie opłaciłoby się dochodem z gościnnych rol. Dyrektor drugiego teatru dając widowiska pięć razy do tygodnia, może już dla tej samej dogodności sprowadzać ile chce artystów do ról gościnnych.

Pfeifer zamyślał na lato wyjechać z trupą do Wiednia, i wchodził w układy z teatrem Jozefstadzkim. Liczy on na mnogą ludność sławiańską i na nowość tańców i ubiorów polskich i krakowskich. Mniemam iż to ryzyko za zbyt śmiałe, może sprowadzić zupełne bankructwo polskiego teatru. Dyrektor nie odstąpił zupełnie od tej myśli, ale pierwej z końcem marca zamierza wyjechać do Poznania, gdzie na tę korzyść, że w opuszczonym teatrze letnim w Odeonie, może grywać codziennie i nikt mu nie krępuje liczby widowisk, więc może wyjść zawsze na swojem, gdy tu u nas tylko liczny abonament może go ratować od zupełnego upadku.

Wiecie już o śmierci Meciszewskiego. Znany był on tutaj jako talent encyklopedyczny i powierzchowny, choć dowcipu i wymowy nie można mu było zaprzeczać. Lubił pisać od lat najmłodszych i bardzo wiele, choć mało które z pism jego drukiem ogłoszonych, nosi cechę wytrawnego sądu, i zimnej, spokojnej rozwagi. Pełno projektów wnosił na sejmy i drukował jak n. p. *O potrzebie banku publicznego.* Trzy rozprawy r. 1835 i inne. W pismach humorystycznych, po mnogich pismach czasowych rozsypanych, *w Orędowniku* r 1842. *w Dwutygodniku* 1845 *w Czasie* 1850 i t. d. pomimo ogromnej dozy gadulstwa, przebija się wszędzie dowcip niewyczerpany, umiejący najmniejszą drobnostkę uczynić interesującą.

Bawiał się też i polityką; wydawał *Polskę* i *Dziennik narodowy* a w ulotnych pismach politycznych polskich i niemieckich, umiał zawsze dowieść założenia swojego, choćby je przyszło podeprzeć najwyszukańszemi sofizmatami. Zaczepiony lub zaczepiający, nie szczędził ironii i szyderstwa przeciwnikowi i odpowiadał z żółcią namiętnie a często dowcipnie: *Słów kilkanaście* i t. d. Wizyta braci Malinowskich i t. d. Najważniejsze prace jego i zaszczyt mu przynoszące są jego utwory, dotyczące dziejów, politycznego bytu byłej rzeczypospolitej Krakowskiej jako: *Sześć lat bytu polit. R. Krak.* 1846. *Do historyi ustawodawstwa karnego* 1849. *Posag Uniwersytetu* 1850. *Rzecz do historyi majątku uniwers.* 1850.

W innych pracach literackich obszerniejszych, jak n. p. *Uwagi nad dramatem Urszula Mejerin.* 1847. *Podróż na Etnę* 1850. i t. p. mniej okazał się interesującym lub znającym przedmiot. Mając zaledwie 21 lat, wydawał w Warszawie w r. 1823 *Kuryera dla płci pięknej.* w r. 1834, *Tygodnik krakowski*, ale obiedwie te publikacye trwały efemerycznie.

Ważną przysługę wyświadczył scenie narodowej publikacyą w Gazecie Krakowskiej szeregu listów, wykazującą nieudolność ówczesnego przedsiębiorcy teatru, i wskazującą jak należałoby urządzić scenę, aby odpowiadała wymaganiom dobrego smaku. Listy te zebrane w księgę wyszły w r. 1843 pod tytułem *Uwagi o teatrze.* Wykazują one jak trafne miał autor poczucie piękna i pogląd estetyczny

na przedmiot o którym traktował. Ująwszy potem w r. 1843 ster teatru narodowego i kierując nim do połowy r. 1845, próbował urzeczywistnić w praktyce to, o czem pisał rozwijając teorją. Na wystawę i dobór artystów nie szczędził wydatku, był częstokroć rozrzutnym, ale odpowiedni dochód powracał mu koszta. Wybierał starannie dzieła do repertoaru, i sam kilka słynniejszych przetłumaczył jak: Angelo, Policzek, Monaldeschi i t. d. — Był to dyrektor teatru, jakiego w tym rodzaju scena polska potąd nie miała. Starał się unikać pod wszelkim względem wad i mnóstwa usterków które był Chełchowskiemu sprawiedliwie wykazał. Co zdziałał, opowiada to sam w dziełku: *Kilka słów do Gazety Poznańskiej* 1845. Szkoda tylko że nie umiejąc wytrwać długo w raz przedsiębranych czynnościach, ostygł prędko w zapale, i w najnieudolniejsze ręce odstąpił ster teatru.

W r. 1850 i później, był bardzo czynnym członkiem redakcyi Czasu, a artykuły jego dotyczące Krakowa i stosunków prawnych w Galicyi, bardzo łatwo rozpoznać po stylu jemu właściwym.

Od wydawcy. Upraszam szanownych prenumeratorów o wczesne zamawianie Nowin na kwartał drugi, aby znowu spóźniającym się z prenumeratą nie brakło początkowych numerów. Zaległe ryciny mód w tym tygodniu przesłane będą abonującym. Z pierwszym numerem drugiego kwartału rozpocznie się powieść jednotomowa Józefa Dzierzkowskiego, poczem nastąpi powieść nowa J. Zachariasiewicza również jednotomowa. W czerwcu zaś spodziewam się, iż rozpocznie się druk powieści nowej Józefa Korzeniowskiego.

Przyjechali od dnia 23. do 25. Marca do Lwowa.

PP. Fumowski Wiktor, z Bereznik. Ostroróg Leon hr. z Samołuskowic. Chyliński Adolf, z Wysłowic. Łodyński Hieronim z Milatyna. Głowacki Feliks, z Husiatyna. Badeni Aleksander hr. z Brzeżan. Tretter Konstanty, z Tarnowa.

PP. Karnicki Teodor, hr. z Michałowic. Rozwadowski Erazm, z Hładek. Krzeczunowicz Józef, z Jaryczowa.

PP. Bocheński Romuald, z Jezierzan. Bystrzanowski Leopold z Makuniowa. Wojczyński Alfred, z Tuligłów. Głogowski Artur, z Bojańca. Nahujowski Antoni, z Czernicy. Turkuł Feliks, ze Złoczowa.

Wyjechali od dnia 23. do 25. Marca ze Lwowa:

PP. Barański Karol, do Chłopczyc. Jaruntowski Jan, do Hermanowic. Madejski Marian, do Romanowa. Cielecki Władysław, do Byczkowic. Kuczyński Felician, do Korkowa. Strzelecki Eugeniusz, do Wyrowa.

PP. Chiliński Adolf, do Wisłowic. Starzyński Adam, hr. do Krzywcza.

PP. Kwiatkowski Józef, do Obroszyna. Zagórski Karol, do Jackowic. Komarnicki Bolesław, do Jackowic.

Lwów, 26. Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 33 złr. 30 kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po — złr. — kr. do — złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do 21 złr. — kr Owsa po 13 złr. — kr. do 15 złr. 20 kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 21 złr. 20 kr.— Ziemniaków po 12 złr. 30 do 13 złr. 45 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do — złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w. w. Cetnar siana 5 złr. 10 kr. do 5 złr. 53 kr. Centnar słomy 2 złr. 48 kr. do 4 złr. 10 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 26. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$125\frac{3}{4}$	Pożyczka 5% — $4\frac{1}{2}$	$71\frac{1}{4}$
Hamburg za 100 tal. banco	$91\frac{7}{8}$	Akcye banku	1010
Londyn za 1 funt szterl.,	12 14	Kolej północna	$1942\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$125\frac{3}{4}$	Obl. ind.	$73\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$146\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loterya	$104\frac{7}{8}$
Agio duk. ces.	30	Pożyczka narodowa . .	$86\frac{15}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	46	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	«	5	»	51	»	5	«	53
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	3	»	10	«	6
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	94	«	15	»	94	«	35
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		73	»	5	»	73	»	25
5 proc. pożyczka narodowa		86	»	—	»	86	«	50

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 36. z roku 1855.

Guenon, Fr. O poznawaniu mleczności krów, z dodaniem główniejszych prawideł tworzenia krów mlecznych przez J. N. Kurowskiego. Warszawa 1854. 2 złr. 24 kr.

Libelt, Kar. Estetyka czyli umnictwo piękne. Tom I. Część ogólna Petersburg 1854. 9 złr. —

Tom II. Piękno natury. 2 części 10 złr. —

Łyskowski, Ign. Gospodarz. Drugie poprawne wyd. Brodnica 1853 1 złr. —

Moraczewski, Jędr. Polska w złotym wieku, przedstawiona wyimkami z dziejów Rzeczypospolitej polskiej. Poznań 1851 3 złr. —

Nobis, Reinh. Dokładna i praktyczna książka podręczna o wszystkich częściach i odnogach gospodarstwa wiejskiego, dwa tomy Leszno 1852. 6 złr. —

Pol, Winc. Mohort, Rapsod rycerski z podania. Kraków 1855. 5 złr. —

Popliński, A. Historya powszechna dla klass niższych i wyższych gymnazialnych i realnych. Tom 1. zawierający dzieje starożytne. Poznań 1854. 2 złr. 40 kr.

Potraw 1000, ciast i wetów, podług najbieglejszych europejskich kuchmistrzów. Warszawa 1854. 2 złr. 24kr.

Schmidt, Józef. Kuchnia polska czyli dokładna i długą praktyką wypróbowana nauka sporządzania potraw mięsnych i postnych. Przemyśl 1855. 2 złr —

Rohlwes, J. M. Nowy lekarz czyli sposób leczenia bydła, koni, owiec i innych domowych zwierząt. Warszawa 1853. 2 złr. 24 kr.

Środków 900, najlepszych domowych przeciw rozlicznym chorobom, i cierpieniom człowieka, tudzież skład apteczki domowej przez Hufelanda. Warszawa 1850 2 złr. 24 kr.

Tyszyński A. Rozbiory i krytyki. 3 tomy Petersburg 1854 15 złr. —

Barącz X. Sadok. Pamiętnik dziejów polskich. Z aktów urzędowych Lwow. i z rękopismów. w 8ce dużej Lwów 1855. 2 złr. 30 kr.

Deotyma w Krakowie. List Zygm. Kaczkowskiego do redaktora gazety Warszawskiej. w 8ce Warszawa 1854. 1złr. — kr.

Ksiądz Jan Pociej, i jego dzieło o Jezusie Chrystusie Odkupicielu, tudzież o pierwotnych Chrześcianach i ich domach modlitwy w8ce Poznań 1853. — 40 kr.

Lermontow, Bojar Orsza. Poemat przełożył z Rosyjskiego G. C. w8ce Lwów 1855. — 40 kr.

Piątkowski Rom. Gorzelnictwo, czyli praktyczna nauka o wyrabianiu wódki z kukurudzy, kartofli i różnego zboża w 8ce Lwów, 1854 — 45 kr.

Szkółka dla młodzieży. Pismo sześciotygodniowe wraz z dodatkiem literackim rok 1854 w 8ce Poznań 4 złr. —kr.

Tomira, Misterjum przez Deotymę, w 8. Warszawa 1855. 1 złr. 48 kr.

Wentura Raulica Ks. Kazania czyli rozprawy duchowne o rozumie filozoficznym i o rozumie katolickim. Z francuzkiego na polskie przetłomaczone przez M. J. w 8ce Lipsk 1855. 5 złr. — kr.

Wspomnienia Wschodu. Dziennik podróży do Syryi, Egiptu, Palestyny, Turcyi i Grecyi, przez Z. S. z rycinami w 8ce dużej Lipsk 1855. 5 złr. —kr.

CZASOPISMA NA ROK 1855.

Brodeusse (la). Journal special de travaux de femmes, contenant broderies, tapisseries et ouvrages d'aiguille; parraissant deux fois par mois, par cahiers d'une feuille in 4., et gravures de broderies, modes, lingerie, musique, patrons, etc. 12 złr. — kr.

Illustration (l'). Journal universel; paraissant tous les samedis par feuilles grand in 4. de 16 pages. złr. 24 —

Journal des Demoiselles. Paraissant le 1er de chaque mois, à partir de janvier, par cahiers de 2 feuilles, une gravure de modes, patrons, etc. Deux éditions, 1. édition grand in 8. avec gravures de modes, patrons etc. 10złr. 2 édition, petit in 8. avec gravures 6złr.

Journal des jeunes personnes. Publié sous la direction morale et litteraire de Mlle S. Ulliac Tremadeure, paraissant tous les mois, a partir de novembre, par cahiers de 2 feuilles de texte grand in 8. gravures de modes, dessins de broderies, etc. 10 złr.—kr

Journal für moderne Stickerei, Mode und weibliche Handarbeiten. Ein Monats-Blatt. Jährlich 6 złr. — kr.

Allgemeine Muster-Zeitung. Album für weibliche Arbeiten und Moden Jährl. 52 Nummern 4 fl. mit Postversendung 6 fl. —

Penelope. Neue Muster-Zeitung für weibliche Arbeiten und Moden Jährlich 12 Numern 2 fl. 24 kr. mit Postversendung 2 fl.54 kr.

Leipziger illustrite Kriegs-Zeitung. Jährlich 52 Nummern 4 fl.— mit Postversendung 6 fl. — kr.

W tejże księgarni dostać można następujących rycin po cenie zniżonej:

Nourreddin et la belle Persanne, kolor. (3. 45 kr.)	2 złr.	
Aboul-Cassem et la belle Balkis, kolor. (3. 45 kr.)	2 »	
Le petit distrait, kolor. (5 złr.) . . .	3 »	45 kr
le Capitain Albert. kolor. (5 złr.) . . .	3 »	45 »
l'art d'aimer (l'indifférence) kolor. (5 złr.). .	3 »	45 »
l'art d'aimer (l'audace) kolor. (5 złr.) . .	3 »	45 »
les indiscrètes (5 złr.) litogr. . . .	3 »	— »
Der Erzähler (Prämie des oest. Kunst-Vereins für 1852) staloryt (5 złr.)	3 »	
Justice de Charles-Quint, staloryt (10 złr.) . .	7 »	
Clemence de Napoléon Bonaparte staloryt (10 złr.)	7 »	
Les Anges de la Passion, litogr. (3 złr. 30 kr.) .	2zł.	
Le dieu du soldat, staloryt (10 złr.)	7 »	
etite bon homme vit encore, staloryt (10 złr.) .	7 »	
Les Willis, litogr. (10 złr.) . . .	7 »	
Virginie au bain, staloryt (8 złr.) . . .	6 »	
Paul et Virginie staloryt (8 złr.) . . .	6 »	
Le cabinet de Napoleon I. litogr. (8 złr.) . .	6 »	
Chut! Papa dort! (Napoleon I.) (8 złr.) . .	6 »	
La guerre } chevaux staloryt (8 złr.)	6 »	
La paix } . . .	6 »	
Lá Fête du pasteur, kolor. (12 złr.) . .	10 »	
L'instruction religieuse, kolor. (12 złr.) . .	10 »	
La multiplication des pains, staloryt (25 złr.) .	20 »	
Jesus-Christ prechant sa doctrine, staloryt, (25 złr.)	20 »	

Chenu le Dr. Encyclopedie d'histoire naturelle

ou traité complet de cette science d'après les travaux des naturalistes les plus eminents de tous les pays et de toutes les époques: Buffon, Daubenton, Lacepède; G. Cuvier, F. Cuvier, Geoffroy, Saint-Hilaire, Latreille, de Jussieu, Brongniart etc. etc.

Ouvrage resumant toutes les Découvertes modernes jusqu'a nos jours. Edition illustrée. 10 Vols. 48 złr.

Ces 10 Volumes contient: **Oiseaux**, 3 Vols. **Carnassiers**, 2 Vols. **Papillons.** 1 Vol. **Quadrumanes.** 1 Vol. **Botanique.** 1 Vol. **Coléoptères.** 2 Vols.

Wszelkie obstalunki przewyższając kwotę 5 złr. obowiązuje się wymieniona księgarnia pocztą franko na miejsce odesłać.
